ILUSTROWANY GŁOS NARODU

z dnia 23. Sierpnia 1902 r.

T. M. DOSTOJEWSKI.

BIAŁE NOCE.

Noc druga.

No i dożyliśmy! — powiedziała, śmiejąc się i ściskając obiedwie moje ręce.

— Jam tutaj już od dwóch godzin; pani nie wie, co się działo ze mną przez cały dzień.

— Wiem, wiem... Ale do rzeczy. Wie pan, pocom przyszła? Przecież nie po to, by głupstwa pleść, jak wczoraj. Ot co: musimy odtąd postępować mądrzej. Myślałam o tem jeszcze wczoraj.

— Mądrzej postępować? Owszem, chętnie; ale, co do mnie, to przez całe życie nie postąpiłem nigdy tak mądrze, jak teraz.

— Naprawdę? Przedewszystkiem więc, proszę, niech pan nie ściska mi tak rąk, powtóre, oświadczam, żem długo dziś o panu myślała.

— No... i?

— No i skończyło się na tem, że trzeba nanowo wszystko zaczynać, bo zadecydowałam nareszcie, że zupełnie pana jeszcze nie znam, że wczoraj postąpiłam, jak dziecko, jak podlotek, że zawiniło we wszystkiem moje dobre serce, czyli koniec końców, doszłam do pochwały samej siebie, do czego się zresztą dochodzi zawsze przy ważeniu swojego życia. I dlatego, by poprawić błąd, postanowiłam wywiedzieć się o panu jak najdokładniej. A ponieważ nie mam innych źródeł wywiadu, więc pan musi mi sam opowiedzieć wszystko, wszyściutko o sobie. No, więc co pan za człowiek? Prędzej, niech pan opowiada swoją historję.

— Historję! — zawołałem przestraszony — historję! Kto pani powiedział, że mam jaką historję? Nie mam historji...

— Jakże więc pan żył, jeżeli niema historji? — przerwała mi, śmiejąc się.

— Zupełnie bez historyj! Żyłem sam dla siebie, jak mówią, to jest sam zupełnie — sam, sam absolutnie — pani dobrze to rozumie: sam?

— Jakto sam? Nikogo pan nie widywał?

— No nie, widywać widuję, a mimo to — sam.

— Nie mówi pan z nikim?

— W ścisłem pojmowaniu rzeczy: — z nikim.

— Wię któż pan jesteś! Zaraz domyślam się: pan także musi mieć, jak i ja, babcię. Ślepa jest i przez całe życie nie wypuszcza mnie od siebie, tak, żem się prawie oduczyła mówić. A gdy dwa lata temu nabroiłam coś, zawołała mnie do siebie i przypięła szpilką do swojej spódnicy — i tak od tego dnia siedzimy ze sobą; babka choć ślepa, robi pończochę, a ja koło niej. Siedź, szyj, albo czytaj jej książkę na głos — taki dziwny obyczaj: dwa lata przypięta szpilką...

— Strach! Ale ja nie mam babci.

— No więc pocóż pan siedzi w domu?

— Więc pani chce wiedzieć, ktom ja taki?

— No tak, tak.

— Ściśle?

— Ściśle. Najściślej.

— Typ.

— Typ! Jaki typ? — zawołało dziewczątko, roześmiawszy się tak, jakby pierwszy raz po całorocznej przerwie. — Jak mi z panem wesoło: Oo — tutaj jest ławeczka; siądźmy! Tędy nikt nie chodzi, nikt nas nie usłyszy — i zaczynać historję! Dlatego, że mnie pan nie przekona, iż pan nie ma swej historji; ukrywa ją pan. Najprzód więc, co to jest typ?

— Typ? Typ to jest oryginał, taki śmieszny człowiek — odpowiedziałem i porwany jej dziecięcą wesołością, zacząłem się sam śmiać. — To jest taki charakter. Pani wie, co to jest marzyciel?

— Marzyciel? Jakżebym nie wiedziała? Po części jam także marzycielką! Czasem zdarzy się, siedzę koło babci, a przez głowę leci i leci, a leci, Bóg wie co. I zaczynam marzyć, marzyć... no, za chińskiego wielkiego księcia wychodzę.. Ale czasem to dobrze, że się marzy!... Chociaż kto wie! Zwłaszcza, jeżeli jest poza marzeniem o czem myśleć — dodało dziewczę jakoś poważnie.

— Wspaniale, jeżeli pani choć raz już wychodziła za mąż za bogdychana, to wynik ten, że mnie pani zrozumie zupełnie. Ale, przepraszam, bo nie wiem jeszcze, jak pani na imię?

— Nareszcie! Przypomniał pan sobie.

— Ach, mój Boże! Do głowy mi nie przyszło. Tak dobrze mi było bez tego...

— Nastienka.

— Nastienka, no a dalej:

— Pocó dalej? Nie dość panu? Co za nienasycony!

— Nie dość? Dość! Za dość! Nastienka... Nastienka — jak to nawet dobrze, że pani będzie dla mnie przedewszystkiem tylko Nastienką...

— No właśnie... Ale...

— Więc proszę pani... proszę słuchać, jaka to śmieszna historja.

Usiadłem koło niej z pedanteryjnie poważną miną i zacząłem jakby wprost do druku:

— Są, Nastienka, — może pani o tem nie wie, — są w Petersburgu dość ciekawe kąty. W kąty te zagląda, zda się, nie to samo słońce, co świeci wszystkim mieszkańcom Petersburga, ale jakieś inne, nowe, jakby umyślnie zamówione dla tych kątów i oświeca wszystko swojem osobliwem światłem. W kątach tych, Nastienka, żyje jakby zupełnie inne życie, niepodobne do tego, które wre obok nas, życie z za siódmej góry, z za siódmej wody, a nie nasze poważne, przepoważne życie. Życie to jest właśnie mieszaniną czegoś czysto-fantastycznego, gorąco idealnego z czemś (niestety, Nastienka) szaroprozaicznem, zwyczajnem, żeby nie powiedzieć: do niemożliwości nikczemnem.

— Boże! Boże! Co to za wstęp! Co ja teraz usłyszę?!

— Usłyszysz pani, Nastienka (mnie się zdaje, że nigdy się nie zmęczę powtarzaniem: Nastienka), usłyszy pani, że w tych kątach mieszkają dziwni ludzie — marzyciele. Marzyciel — żeby go określić dokładnie — to nie jest człowiek, ale jakaś istota rodzaju nijakiego. Zamieszkuje zazwyczaj jakiś niedostępny kąt, jakby chciał w nim utaić się przed światłem dziennem nawet, a gdy dobrnie do domu, to, zda się, przyrasta do swego kąta, jak ślimak. Jak pani myśli, dlaczego on tak lubi swoje cztery ściany, wymalowane naturalnie na zielono, smutne i niemożliwie okopcone? Dlaczego ten śmieszny jegomość, gdy zdarzy się, odwiedzi go ktoś ze znajomych (kończy tem, że znajomi wszyscy jakoś przeprowadzają się), dlaczego ten śmieszny człowiek wita go taki zawstydzony, taki zmieszany, jakby przed chwilą popełnił jakieś przestępstwo, jak gdyby fabrykował fałszywe banknoty lub wierszyki, które później odsyła się do redakcji jakiejkolwiek wraz z listem anonimomym, donoszącym, że autor tej poezji umarł, że więc przyjaciel nieboszczyka uważa za święty obowiązek opublikować jego utwory? Dlaczego, powiedz mi pani, proszę, o Nastienka, nie wiąże się rozmowa z gościem? Dlaczego ani śmiech, ani żadne ostre słówko nie spada z języka tego niespodziewanego gościa, który w innych wypadkach lubi i śmiech i ostre słówko i gawędki o płci pięknej i inne wesołe tematy? Dlaczego wreszcie i sam gość, niedawny znajomy zapewne, przybyły tu z pierwszą wizytą, bo drugiej napewno nie będzie, — dlaczego i gość tak się miesza, kostnieje, patrząc na przewróconą minę gospodarza, który zdołał już do tej pory zatracić się do szczętu, po próżnych wysiłkach wygładzenia i urozmaicenia rozmowy, wykazania znajomości tonu światowego, zagadania o płci pięknej, po rozpaczliwej próbie spodobania się choć jako tako temu biednemu człowiekowi, który miał nieszczęście go wizytować? Dlaczego wreszcie gość chwyta naraz kapelusz i szybko odchodzi, przypomniawszy sobie przypadkiem o najpilniejszym pod słońcem interesie? Dlaczego, wyszedłszy, śmieje się do rozpuku i na miejscu daje sobie słowo, że wizyta była ostatnią, że się już nie pokaże na oczy temu dziwakowi; dziwak ten może być najlepszym człowiekiem. I równocześnie po solennem słowie honoru wyobraźnia jego pozwala sobie na maleńką zachciankę: porównania, choćby w dalekich zarysach, fizjognomji gospodarza do tego nieszczęsnego kociaka, którego dzieci zdradliwie schwyciły w niewolę, zmięły, stłukły, najokropniej sponiewierały, upokorzyły w proch i który wreszcie wtulił się przed niemi pod krzesło, w ciemny kąt i tam dopiero przez całą godzinę myje swój znieważony pyszczek, długo potem patrzy nieprzyjaźnie na życie i naturę i nawet na swoją porcję, którą mu przyniosła litościwa szafarka.

— Przepraszam pana — przerwała mi Nastienka, która cały czas słuchała zdziwiona z otwartemi oczami i usteczkami — nie wiem zgoła, dlaczego pan mi zadaje takie śmieszne pytania, nie wiem dlaczego to wszystko się dzieje, ale wiem tylko napewno, że wszystkie te zdarzenia bezwarunkowo zaszły z panem i to od słowa do słowa.

— Bez wątpienia.

— Więc, jeżeli bez wątpienia, to proszę ciągnąć dalej, bom ogromnie ciekawa. Tylko jeszcze jedno: pan opowiada bardzo pięknie, ale czyby

nie można jakoś opowiadać, nie tak pięknie, bo pan tak mówi, jakby pan książkę czytał.

— Nastienka — odpowiedziałem poważnym głosem, wstrzymując się od śmiechu — Nastienka, ja wiem, że opowiadam pięknie, ale — moja wina — nie umiem inaczej. W tej chwili jestem niby duch króla Salomona, z którego nareszcie po tysiącu latach zdjęli siedm pieczęci. Teraz Nastienka, gdyśmy się znowu zeszli po takiej długiej rozłące — bom ja panią już oddawna znał, bom oddawna już kogoś szukał, a to jest znak, żem panią właśnie szukał i że było nam sądzone zejść się — teraz w głowie mojej otworzyło się tysiąc zawor i muszę wypłynąć na zewnątrz rzeką słów, inaczej zaduszę się. Więc słowem, proszę mi nie przerywać, lecz słuchać pokornie i posłusznie, inaczej: umilknę!

— Ni-ni-ni! Już ani słowa!

— Zaczynam: mam w dniu, Nastienka, pewną godzinę, którą nadzwyczaj kocham. Ta godzina, kiedy kończą się prawie wszystkie dzienne sprawy, obowiązki, zajęcia i wszyscy spieszą do domów na obiad na odpoczynek, a po drodze już obmyślają sposoby wesołego przepędzenia wieczoru, nocy. O tej godzinie bohater nasz — bo pani mi już pozwoli opowiadać w trzeciej osobie; w pierwszej osobie jakoś wstyd opowiadać — więc, jak powiadam, o tej godzinie i nasz bohater, który dotąd nie próżnował, wraca do dom. Ale dziwne uczucie zadowolenia gra na jego bladej, trochę jakby zmiętej twarzy. Nieobojętnie patrzy na wieczorną zorzę, powoli gasnącą na chłodnem niebie petersburskiem, gdy mówię: patrzy, to kłamię — nie patrzy, ale wchłania jakoś nieświadomie, rzekłbyś, zajęty zupełnie czem innem, bardziej zajmującem. Przypadkowo może tylko udzielić uwagi temu, co go otacza. Zadowolony jest, bo do jutra wolny od spraw, rad jak sztubak, którego puścili ze szkolnej ławki do gry i dokazywania. Niech pani popatrzy na niego z boku, w tej chwili pani dostrzeże, że radosne uczucie już podziałało na jego słabe nerwy i chorobliwie podrażnioną fantazję. Teraz bogaty już jest swojem osobliwem życiem, jakby się wzbogacił naraz; nie naprózno pożegnalny promień słońca tak wesoło mu zajaśniał i wyciągnął z ogrzanego serca całe roje wrażeń. — W tej chwili, zaledwie dostrzega drogę, na której przedtem uderzałaby go każda drobnostka. Niech pani spróbuje zatrzymać go i naraz zapytać: gdzie teraz stoi, którędy szedł? nicby nie mógł przypomnieć sobie, ani tego, gdzie stał teraz i zaczerwieniony z niezadowolenia, zełgałby cokolwiek dla uratowania przyzwoitości. Oto dlaczego tak drgnął, omal nie krzyknął i ze strachem obejrzał się do koła, gdy jakaś nadzwyczaj szanowna staruszka grzecznie zatrzymała go i zapytała o drogę. Pani zapyta być może: o czem marzy? Poco pytać? o wszystkiem... o roli poety, zrazu nieuznanego, potem wieńczonego... Noc św. Bartłomieja, Diana Vernon, bohaterski współudział w zdobywaniu Kazania, Klara Mowbray, Sobór i Huss, zmartwychwstanie trupów w „Robercie" (pamięta pani muzykę? Czuć w niej cmentarz!), Minna i Brenda, bitwa pod Berezyną, czytanie utworu u hrabiny W., D... Danton, Kleopatra e suoi amanti, dworek w Kołomnie, swój kąt a obok miłe stworzenie, towarzyszka, wieczór zimowy i t. d. Nie! co go obchodzi, próżniaczego smakosza, to życie zwykłe, nasze życie? On myśli, że to jest biedne, nędzne życie, nie domyśla się, że i dlań wybije kiedyś tęskna godzina, kiedy za jeden dzień tego nędznego życia odda wszystkie swoje fantastyczne lata, i nie za radość, nie za szczęście odda... Tymczasem jednak — niczego nie pragnie, bo wyższy jest nad pragnienie, bo wszystko jest w nim, bo sam on jest twórcą swojego życia i tworzy je sobie w każdej godzinie wedle nowego zachcenia. A jak to łatwo, jak naturalnie stwarza się ten bajkowy, fantastyczny świat! Jak gdyby to nie było nawet przywidzenie! Naprawdę, wierzyć jestem gotów chwilami, że całe to moje życie, to nie pobudzenie uczucia, nie miraże, nie złuda wyobraźni, ale rzeczywistość, istota! I dlaczego, powiedz pani, dlaczego w chwiłach tych tak tęży się duch? Od jakich czarów, od jakich nieznanych losów przyśpiesza się puls, tryskają łzy z oczu marzyciela, goreją białe zwilgniałe policzki i takiem niepokonanem upojeniem wypełnia się cała jego istność? Tak jest, Nastienka, oszukać się można i mimowoli uwierzyć, że to namiętny, rzeczywisty zachwyt drga w duszy, taką dławiącą słodyczą zamiera w sercu. Mimowoli uwierzyć można, że jest coś żywego, namacalnego w bezcielesnych jego marach! A przecież jakie to oszustwo naprzykład: miłość naszła na jego pierś z całą swoją nieprzebraną radością, ze wszystkiemi mękami... Ale niech pani nań spojrzy! Czy uwierzy pani wtedy, że on w istocie nie znał nigdy tej, którą tak kochał w swoich snach? Czyżby naprawdę widział ją tylko jedynie w czarownych przywidzeniach, czyżby mu się śniła tylko namiętność? Czyżby naprawdę ręka w rękę nie przeszli oboje tylu lat wspólnego życia, — sami, porzuciwszy świat ludzki, połączywszy w jedno dwa światy swoje? Czyżby naprawdę to było tylko marzeniem — i ten sad, posępny, spustoszały, dziki, z ścieżynkami, zarośnięty mchem, samotny, ponury, gdzie tak często chodzili we dwoje, gdzie przędli nadzieję, tęsknili, kochali się tak długo, „tak długo i rzewnie". Musi się więc pani zgodzić, że jest powód do zerwania się z miejsca, zawstydzenia, jak się wstydzi uczniak, załapany na pchaniu do kieszeni zerwanego z cudzego sadu jabłka, gdy któryś z nieproszonych przyjaciół, długi, zdrowy chłop, bałaguła i kompan naraz otworzy drzwi — i jak gdyby nigdy nic krzyknie sobie: „A ja, bracie, prosto z Pawłowska!" Boże ty mój! Stary, posępny sad — „tak długo i rzewnie" — a tu ludzie przyjeżdżają z Pawłowska!

Umilknąłem patetycznie po patetycznem zakończeniu. Pamiętam, że gwałtem pragnąłem roześmiać się. Jakieś złośliwe biesiątko zaczynało już ruszać się we mnie. Ale coraz bardziej i bardziej wilgotniały oczy moje...

Oczekiwałem, że słuchająca tego wszystkiego z otwartemi oczami Nastienka parsknie swym dziecinnym rozbrajającym śmiechem i już zaczynałem żałować, już czułem skruchę, że zagalopowałem się, że niepotrzebnie wypowiedziałem się z wezbranego serca, żem niepotrzebnie wypowiedział to, co mogłem mówić tylko w ten sposób, jakbym czytał napisane, jako, że dawno już było to ułożone w formie wyroku nad sobą samym, który teraz tylko odczytywałem. Żałowałem, żem się nie mógł wstrzymać. Zdziwiłem się więc niemało, gdy Nastienka przez chwilę milczała, potem lekko uścisnęła mi rękę i z jakiemś nieśmiałem uczuciem spytała:

— Czyż naprawdę pan przeżył tak całe swoje życie?

— Całe życie, Nastienka. I zdaje się do końca życia.

— Nie, tak nie będzie — odezwała się z niepokojem — tak nie może być, bo i jabym chyba także całe życie może musiała przeżyć przy babci. Czy pan wie, że to nie dobrze tak żyć?

— Wiem, Nastienka, wiem; zawołałem, nie walcząc dłużej z uczuciem. — A w tej chwili wiem bardziej, niż kiedykolwiek. Teraz, gdy siedzę koło pani i mówię z panią, to dziwno mi nawet pomyśleć o przyszłości, dlatego, że przyszłość, to znowu samoistnienie, znowu to zatęchłe, niepotrzebne życie i o czem mi teraz marzyć, gdym na jawie obok pani był tak szczęśliwy?! O! niech pani będzie błogosławioną za to, żeś mnie nie odtrąciła, że mogę powiedzieć, iż żyłem choć dwa wieczory w życiu mem!

— Och, nie, nie! — krzyknęła Nastienka i łezki błysnęły w jej oczach. — Nie, tak nie może być, nie rozstaniemy się! Cóż to dwa wieczory!

— Och, Nastienka, Nastienka. Czy pani to wie, że pani mnie pogodziła z samym sobą? Czy pani wie, że nie będę już tak źle myślał o sobie, jak nieraz myślałem? Czy pani wie, że nie będę już może żałował przestępstwa i grzechu, jakie popełniłem w życiu. Bo przestępstwem i grzechem jest takie życie, jak moje. I niech pani nie myśli, Nastienka, że przesadzam cokolwiek, na Boga, niech pani nie myśli, bo nachodzą na mnie minuty takiej tęsknoty, takiej tęsknoty... bo po tych moich bajkowych nocach przychodzą przecie dnie otrzeźwienia — a te są takie rozpaczliwe!! A wkoło wre i kołuje w życiowym wichrze ludzki tłum, słyszysz, widzisz, jak żyją ludzie — żyją na jawie, widzisz, że życie ich nie obstalowane, że nie rozpryska się, jak sen, jak widziadło, że życie ich wieczyście się odnawia, wieczyście młode, ani jedna godzina nie podobna do drugiej; nie to, co zasmutniała i do nikczemności jednostajna lękliwa fantazja, niewolnica cienia, niewolnica idei, niewolnica pierwszej lepszej chmurki, co naraz zasłoni słońce i zdławi smutkiem prawdziwe petersburskie serce, tak drżące o swoje słoneczko — a cóż może być za fantazja w smutku? Czujesz, że nareszcie się wyczerpuje z nieustannego napięcia ta „nieprzebrana" fantazja! Bo przecie człowiek mężnieje, przeżywa dawne ideały — rozbija je



TERYTORYUM SPORNE MORSKIEGO OKA.

w pył, gruz; a gdy brak innego życia, to trzeba je budować z tego gruzu. A dusza chce i błaga o coś innego! Czy wie pani, do czego doszedłem? Czy wie pani, że zmuszony jestem sprawiać rocznicę wrażeń, rocznicę tego, co było przyjemne, rocznicę tego, czego w istocie nigdy nie było — boć rocznicę tylko tych głupich, bezcielistych mar; sprawia się ich rocznicę, bo ich już brak, bo i mary się przeżywają! Wie pani, że lubię teraz wspomnieć i nawiedzić w swój termin te miejsca, gdzie na swój sposób, byłem szczęśliwy niegdyś, lubię budować teraźniejszość na wzór niepowrotnej przeszłości i często, jak cień, tułam się bez celu, bez potrzeby po petersburskich zakamarkach. Jakie wspomnienia! Przypominam naprzykład, że tutaj, akurat rok temu, akurat o tej porze, o tej godzinie, po tym samym chodniku, wlokłem się taki sam samotny, taki sam osmutniały... jak dziś! Przypominam, że i wtedy marzenia były melancholijne, ale choć i wtedy było źle, to jednak wydaje się, że było lepiej, ukojniej, że nie było tego czarnego zadumania, które teraz tak się związało ze mną; nie było tych zgryzot sumienia, ciemnych, ponurych, co męczą dniem i nocą. I pyta się człowiek samego siebie: coś zrobił ze swojemi latami, gdzieś zapodział najlepsze dnie swoje? Żyłeś, czy nie? Patrz, mówi człowiek do siebie, patrz, jak się robi zimno na świecie. Przejdą jeszcze lata, a w ślad za niemi posępne samotnictwo, przyjdzie o kiju drżąca starość, smutek, strapienie. Zblednieje twój świat fantastyczny, pomrą, uwiędną twoje marzenia, jak jesienny liść... O Nastienka! Wszak smutno będzie samotnemu, zupełnie samotnemu, nawet bez wspomnień, bez żalu nawet za czemkolwiek... bo wszystko, co się straciło, co przeszło, to było „nic“, głupie, okrągłe zero, to było tylko marzenie!

— Niechże mnie pan nie roztkliwia, panie — przerwała mi Nastienka, ocierając łezkę. — To już się skończyło. Teraz jesteśmy razem. Dwoje. I cokolwiek się stanie ze mną, nie rozstaniemy się. Niech mnie pan posłucha. Ja jestem prosta dziewczyna, małom się uczyła, choć babcia zgodziła dla mnie nauczycielkę, ale naprawdę rozumiem pana, bo wszystko, co pan teraz mówił, przeżyłam sama przez ten czas, kiedy byłam przymocowana do babci szpilką. Rozumie się, nie umiałabym opowiedzieć tak pięknie, jak pan, nie uczyłam się — nieśmiało dodała, bo mimo wszystko nabrała szacunku do mojej patetycznej oracji i do mojego podniosłego stylu — ale jestem strasznie zadowolona, że pan mi to wszystko tak szczerze powiedział. Teraz znam pana, zupełnie znam. I wie pan co? Ja panu opowiem swoje dzieje, całe, bez przemilczeń, a pan potem da mi radę. Pan jest bardzo mądry człowiek. Czy pan mi obieca, że rada będzie?

— Ach, Nastienka — odpowiedziałem — chociaż nigdy sam dla siebie poradnym nie byłem, to jednak, że zawsze już tak będziemy wspólnie żyli, to będzie bardzo dobrze, gdy jedno drugiemu poradzi! Więc jakąż radę? Proszę mówić wprost — teraz jestem taki wesoły, szczęśliwy, śmiały i mądry, że się na wszystko zdobędę!

— Nie, nie — przerwała Nastienka i zaczęła się śmiać. — Nietylko o mądrą radę idzie, ale także o serdeczną, braterską, taką, jak gdyby mnie pan już całe swoje życie kochał!

— Będzie, będzie, Nastienka! — zawołałem zachwycony — bo choćbym dwadzieścia lat panią kochał, to nie kochałbym mocniej, niż teraz kocham!

— Więc pańska ręka!

— Oto jest.

— No, więc zaczynam swoje dzieje. (C. d. n.)

W TYSIĄC LAT.

(Ostatni rozdział powieści Artura Gruszeckiego p. t. „W tysiąc lat“, opartej na obecnych stosunkach węgiersko-słowackich).

Dzień wyborów, listopadowy, był jasny i pogodny, tylko od czasu do czasu silniejszy powiew wiatru strącał zwarzone liście z drzew, napędzał trochę chmur na blado-błękitne niebo — poczem znów świeciło słońce, rzucając zimne promienie na miasto, rojące się od ludzi i wojska.

Panna Irma, poinformowana od doktora, że Iwko jest niedaleko jej domu wśród wyborców, od rana wypatrywała go z balkonu przez lornetkę. Chwilami zdawało się jej, że go poznaje, ale wkrótce znikał z jej oczu. Zniecierpliwiona, rzekła do swej towarzyszki:

— Panno Nino, przejdziemy się po mieście, dzień taki piękny i ciekawa jestem wyborów.

Szły drogą obok targowicy końskiej, napróżno jednak wypatrywała Iwka panna Irma. Wyborcy gminy Zboro i Skalca, odcięci od domów, rozłożyli się w środku targowicy i Iwko był pewno wśród nich, jako ich kortesz. Kordon wojska, opasujący ich o jakie pięćdziesiąt kroków, nie pozwalał jednak nikomu zbliżyć się do nich, nawet przekupniom z chlebem; oficer komenderujący zabronił więc wstępu i pannie Irmie z Francuzką, mimo wyjawienia nazwiska ojca.

Rozczarowana panna Irma wróciła do domu i z niecierpliwością oczekiwała przybycia ojca, by mu się poskarżyć na doznany zawód.

Pan Balla, wysłuchawszy córkę, uśmiechnął się i rzekł:

— Gdybyś mi była wczoraj powiedziała, że chcesz widzieć wybory, uniknęłabyś Irmo tej nieprzyjemności.

— Zapewne byłby mi ojczulek odradził wyjście — uśmiechnęła się z przymusem.

— Nie, gdyż rozumiem twoją ciekawość. Oficer spełnił tylko swój obowiązek, ale byłbym ci dał przepustkę przez wszystkie kordony.

— Więc niech mi ojczulek da teraz, bo może wyjdziemy po obiedzie z panną Niną.

— I owszem, moje dziecko, oto są dwie, dla ciebie i dla towarzyszki — mówił wyjmując z pugilaresu kartki.

W końcu obiadu zadzwonił i spytał lokaja:

— Czy był posłaniec od pana Thege?

— Czeka na dole z listem.

— Przynieś.

Szybko otworzył list, a czytając, pochmurniał coraz bardziej; skończył i rzekł do lokaja:

— Każ mu zaczekać na odpowiedź.

— Czy złe wiadomości, ojczulku?

— Złe... gorsze, niż przypuszczałem... Thege mnie zawiódł... ma żandarmów, policję, wojsko, i z dziwną łagodnością pozwala zwyciężać Słowakom... Przepraszam was, że wstanę od stołu, ale muszę mu odpisać.

Siadł w swym pokoju przy biurku i szybko napisał:

„Kochany przyjacielu! Nadesłane mi wiadomości są złe; zwracam twoją uwagę, że kilka gmin słowackich nie głosowało, zwłaszcza tak liczne, jak Jaworowo i Zboro. Możemy przegrać. Mojem zdaniem, należy użyć choćby najradykalniejszych środków, albo odłożyć głosowanie“.

Odczytał półgłosem, podpisał i oddał lokajowi; wkrótce wyszedł do biura, by oczekiwać tam telefonicznych wiadomości, dawanych mu przez pana Boronkai, przydzielonego z komitatu do komisji wyborczej.

Wybory szły bardzo opieszale i powoli, gdyż pan Thege wypytywał bardzo szczegółowo wyborców opozycyjnych o ich wiek, zajęcie, nawet przezwiska, jakie im nadawano we wsi dla odróżnienia dwóch jednobrzmiących nazwisk rodzinnych.

Wyborcy Janiczka, mimo że mieli chleba poddostatkiem, niecierpliwili się bezczynnem oczekiwaniem i on sam często zbliżał się do kordonu, wypatrując posłańca z komisji wyborczej, wzywającego jego gminę do urny wyborczej. Pocieszał jednak siebie i ludzi tem, że i Iwko ze swymi wyborcami czeka podobnie jak on, będąc w gorszem położeniu; bo odcięci od sklepów kordonem, nie mogli nawet chleba kupić na zaspokojenie głodu.

Tej samej polityki trzymał się też Iwko względem swoich wyborców, obiecując im suty poczęstunek po wyborach i upewniając ich, że gmina Zboro i Skalec zaraz po gminie Jaworowo przyjdzie do głosowania.

— Chwała Bogu! — zawołał Maciej Baca — wołają już Jaworowo.

— Czy tak? Nie dosłyszałem — rzekł Iwko gorączkowo i wyprostowawszy się, patrzał w kierunku wyborców Janiczka.

Dojrzał, że kordon nie chce przepuścić wyborców, posłyszał słowa głośniejszej kłótni; wreszcie ujrzał, jak Janiczek przerwał kordon i szybko poprowadził wyborców do szkoły.

— Dzielny chłopiec! — uśmiechnął się zadowolony.

— Odważny, to i szczęśliwy! — mruknął Baca. — Kiedyż na nas kolej?

— Jak tylko przegłosuje Jaworowo — objaśniał Iwko — pilnujmy wołania. — I wszyscy umilkli, szepcząc tylko cicho ze sobą.

Wchodzącego Janiczka do wielkiej sali szkolnej przyjął prezes pan Thege, siedzący za stołem, ze spojrzeniem pogardy i niemiłego zdziwienia. Zwrócił się następnie do siedzącego niedaleko pana Boronkai:

— Dowiedz się pan, który z hajduków wołał Jaworowo i daj mi znać.

Pan Boronkai skłonił się i poszedł spełnić polecenie.

— Jak się nazywasz? — spytał wyborcę chłopa starego, z twarzą pomarszczoną i długiemi siwemi włosami.

— Andrzej Hruka.

— Tak?... Powtórz jeszcze raz.

— Andrzej Hruka.

— Hm... dziwne nazwisko... bardzo dziwne... a więc nazywasz się Andrzej Ruka?

— Nie, panie prezesie, Andrzej Hruka.

— Dobrze, nie powtarzaj tak głośno... Gdzie się urodziłeś?

— We wsi Jaworowo.

— Hm... tyś chłop?

— Tak jest.

— Panie sekretarzu... proszę sprawdzić...

— Istotnie, tak jest zapisany na liście wyborców — odpowiedział sekretarz, przejrzawszy spis.

— Tak zapisany?... Odczytaj pan, proszę.

— Andrzej Hruka, rolnik ze wsi Jaworowo...

— Hm... podatki zapłaciłeś?

— Tak jest, panie prezesie.

— Czy istotnie zapłacił? — spytał sekretarza.

— Tak.

— Ile masz lat?

— Pięćdziesiąt cztery.

— To niemożliwe, wyglądasz znacznie młodszy... Prawda, panie Boronkai? — zwrócił się do powracającego — ten człowiek nie może mieć pięćdziesiąt cztery lat.

— Wygląda inaczej — bąknął pan Boronkai, nie wiedząc, czy chłop ma być młodszy, czy starszy.

— Ależ on młodszy — zawołał prezes.

— Znacznie, o, znacznie młodszy! — potwierdził pan Boronkai.

— Czy jest we wsi drugi taki Hruka?

— Jest, ale on nie jest wyborcą.

— Najwidoczniejsze fałszerstwo — oburzył się Thege. — Hej, panie notar! — zawołał do urzędnika, który z obowiązku w czasie głosowania gmin mu przydzielonych, jest na sali — czy zna pan tego człowieka?

— Tak, trochę z widzenia — odparł pokornie.

— On nie ma jednak lat pięćdziesięciu czterech.

— Nie wygląda na te lata.

— Idź precz! — krzyknął prezes — i bądź kontent, że za kłamstwo nie każę cię aresztować.

— Ależ panie prezesie — bąknął wyborca, kłaniając się.

— Precz!

Do stołu prezesa podeszli mężowie zaufania opozycji — i pan Poczkaj rzekł:

— Znam tego człowieka, jest wyborcą, i dlatego, że może wygląda starzej lub młodziej, nie wolno go usuwać od głosowania.

— Wzywałem pana? — zaśmiał się prezes drwiąco. — Proszę milczeć, tu tylko ja decyduję i rozkazuję.

— Ale... — zaczął pan Poczkaj.

— Milczeć i koniec! — krzyknął prezes surowo.

— To hańba! — mruknął dość głośno Janiczek.

— Kto to powiedział? — grzmiał prezes.

W sali zrobiła się cisza, nikt nie odpowiedział.

Prezes, zanim rozpoczął drugą indagację wyborcy, zwrócił się do pana Boronkai:

— Nazwisko hajduka?

— Arpad... ten — i wskazał stojącego w pobliżu.

Prezes skinął i pytał cicho:

— Dlaczego przyszli ci tak prędko?

— Rozerwali kordon.

— Tak? Zaczekaj dam ci kartkę do oficera — i szybko napisał:

„Póki hajduk nie zamelduje panu nazwiska wywołanej gminy, nie otwierać kordonu. Przeciw opornym użyje pan kul“.

Podpisał i rozkazał:

— Odniesiesz oficerom, niech każdy przeczyta i podpisze swe nazwisko.

— Słucham, panie prezesie.

I znów rozpoczął pytania wyborców, i tak wprawnie, że z ośmdziesięciu wyborców Janiczka tylko dwunastu dopuszczono do złożenia głosu.

W chwili, gdy Baca dosłyszał wywołane nazwisko gminy Zboro, dojrzał Iwko zdala na drodze sukienkę panny Irmy, a kolor znał dobrze z balkonu, na którym ją widział przez cały niemal ranek. Tak pragnął ujrzeć ją z bliska, spojrzeć w jej oczy kochane... Ale przy okrzyku Bacy:

— Nas, panie, wołają! — otrząsnął się z marzeń miłosnych i zawołał:

— Dalej, chłopcy! Chodźmy!

Ruszyli. Oficer komenderujący kordonem, ujrzawszy ich ruch, krzyknął:

— Stać w miejscu!

Chłopi stanęli niezdecydowani.

— Chodźcie! Jaworowo przeszło przejdziemy i my!

Znów ruszyli.

— Stójcie, bo każę strzelać — i żołnierzom wydał odpowiednią komendę.

Znów się zawahali. Iwko dojrzał znów bliżej sukienkę Irmy, i podrażniony wahaniem chłopów, zawołał:

— Czego się boicie? To sztuczka oficera, aby nas zatrzymać. Śmiało naprzód! Biegiem!

Ruszyli chłopi, powtarzając za Iwkiem:

— Żywio, Słowacy!

Oficer dał znak, kule zagwizdały, pięciu leżało na ziemi, reszta skupiła się trwożna.

Irma, posłyszawszy strzały, widząc z drogi, iż niektórzy padli, szybko zbliżyła się do kordonu, pokazała przepustkę; niemal biegła do leżących i jęczących, i pierwszego spostrzegła Iwka z przestrzeloną piersią. Poznawszy ją, pod-

niósł błękitne oczy na nią, uśmiechnął się i wyszeptał:

— Kocham cię, Irmo!

Chwilę stała blada, wpatrzona w niego, aż upadła z okrzykiem:

— Mój Iwku!

I wśród jęczących, rannych, płaczących i przerażonych, połączyli się na wieki Irma i Iwko.

Ze studyów nad psychologią zbrodni.

Zbrodniarz przypadkowy i zbrodniarz z namiętności.*)

Jedną z najzupełniejszych prac nad istotą powyższych dwóch kategoryj przestępców zawdzięczamy studjom Lombrosa. Tenże obszerne poświęcił badania zbrodniarzom przypadkowym i zbrodniarzom z namiętności.

Na podstawie opinji powszechnej oraz statystyki, Lombroso przedewszystkiem stwierdza „istnienie naturalnej grupy, którą tworzą zbrodniarze przypadkowi“. Grupę tę dzieli następnie Lombroso na trzy poddziały: na pseudo-zbrodniarzy, kryminaloidów, t. j. ludzi stworzonych na zbrodniarzy — i zbrodniarzy z przyzwyczajenia.

Do pseudo-zbrodniarzy należą przedewszystkiem osobniki, spełniające zbrodnie mimowolne; następnie ci, którzy spełniają czyny, ani przewrotne, ani też wyrządzające jakąkolwiek szkodę, a uważane za zbrodnie tylko na mocy panujących przesądów; ci wreszcie, których zbrodnia wypływa z braku należytej znajomości ustaw.

Czyny spełniane przez tę pierwszą kategorję „nie budzą żadnej obawy na przyszłość i nie obrażają zmysłu moralnego mas“. Nie świadczą one o istnieniu jakiejkolwiek predyspozycji zasadniczej u ich sprawców, którzy są też tylko pseudo-zbrodniarzami, jak ich czyny są tylko pseudo-zbrodniami.

U kryminaloidów, przeciwnie, przypadek, wszechmocna okazja pociąga tych, którzy już w pewnym, choćby małym stopniu są do złego skłonni. Naśladownictwo, zawodowe zajęcia, więzienie a bardzo często, choć pośrednio, namiętności, bywają tu przyczynami zasadniczemi. Kryminaloidów spotykamy również w tak zwanych przez Sighel'ego stadłach zbrodniczych, w których przewrotny znieprawia prostodusznego, silniejszy popycha do zbrodni słabszego. Również i wpływy, epidemicznej natury społecznej tworzą niby prądy, pociągające kryminaloidów ku zbrodni.

Odcienia i stopniowania, wynikające z tych poddziałów, odnaleźć można także w cechach anatomicznych i psychologicznych.

Lombroso odnajduje tu odmiany typu zbrodniczego, a nieznaczne przejścia, które od tego typu prowadzą do kategorji wyższych, pozwalają autorowi dojść do jego ulubionego wniosku, a mianowicie, że tu, jak i gdzieindziej, mamy do czynienia tylko z „odmianą zbrodniarza od urodzenia“.

Do trzeciego z poddziałów zbrodniarzy przypadkowych, mianowicie, do zbrodniarzy z nałogu należą, według Lombrosa, osobniki, które „choć od urodzenia normalne i bez szczególnej skłonności lub organizacji zbrodniczej, nie nabyły jednak ani w domu rodzicielskim, ani w szkole i t. d. owej mocy powodującej, albo raczej, ułatwiającej przejście od zbrodniczości fizjologicznej, stanowiącej, jak to widzieliśmy, właściwość wieku dziecięcego, do życia normalnego, uczciwego, osobniki, które wskutek tego coraz to głębiej grzęzną w owej pierwotnej skłonności ku złemu“.

Uzupełniając dalej swą myśl, autor dodaje:

„Tu właśnie, powtarzamy, występują owe rzekome cuda, których dokonywa wychowanie, nie przez to, że przeobraża zbrodniarza od urodzenia w człowieka uczciwego, ale przez to, że zbrodniarzowi fizjologicznemu nie pozwala stać się nałogowym zbrodniarzem patologicznym“.

Autor zalicza, prócz tego, do zbrodniarzy przypadkowych wielką ilość osobników, należących do szajek złoczyńców, a następnie całą inną jeszcze kategoryę, do której należą indywidualności bardzo różnorodne, ludzie bogaci i możni, indywidua o profesji dwuznacznej, znaczna część przestępców politycznych i tak zwani przez niego zbrodniarze uczeni, oraz zbrodniarze protegowani, a w końcu epileptoidzi, grupa bardzo liczna, poczynająca się od notorycznych epileptyków, a kończąca na ludziach zupełnie normalnych.

Klasę zbrodniarzy z namiętności charakteryzuje Lombroso w sposób następujący:

„Jest wśród zbrodniarzy kategorja, różniąca się absolutnie od wszystkich innych, a mianowicie: zbrodniarze z namiętności, których raczej należałoby nazwać zbrodniarzami z uniesienia (per impeto) gdyż, jak to widzieliśmy poprzednio, a przekonamy się dowodniej jeszcze w etiologji, substrat wszystkich zbrodni stanowi gwałtowne jakieś uczucie. Ale podczas gdy u zbrodniarza zwykłego, impulsa uczuciowe nie bywają ani raptowne, ani izolowane, a dojrzewając zwolna, stale się powtarzają i odnawiają, łącząc się prawie zawsze z refleksją, tu rzecz się ma wprost przeciwnie“.

Autor szuka zatem cech, które najbardziej wyróżniają tę klasę przestępców. Zbrodniarzy takich spotyka się zresztą dość rzadko; w Rosji, w Pensylwanji i Szwajcarji obliczono, iż przeciętna ich ilość wynosi 5 do 6% ogółu przestępców, skazanych za zbrodnie połączone z rozlewem krwi.

Wszyscy oni popełnili zbrodnie „w owej epoce życia, gdy miłość namiętna góruje nad innemi uczuciami i spotyka mniej przeciwwagi we wskazaniach rozsądku“. W kategorji tej procent kobiet jest wyższy od procentu mężczyzn.

Pod względem fizjognomji różnią się oni wybitnie od obłąkanych i zbrodniarzy od urodzenia, tak pięknością swoją, jak i zupełnym prawie brakiem ułomności. A piękności ich ciała odpowiada też czystość duszy. Nietylko brak im owej apatyczności, która cechuje zbrodniarzy od urodzenia, ale znajdujemy u nich raczej przesadną pobudliwość i nadmierną uczuciowość. Z ogromną tą wrażliwością łączy się często skłonność do samobójstwa. Dalecy od owej oziębłej apatyczności zwykłych morderców, objawiają oni, przeciwnie, skrajną, szaloną niemal uczuciowość, nietylko przed spełnieniem zbrodni, ale i później. To też wprost odwrotnie, aniżeli to czynią zbrodniarze zwykli, nietylko nie starają się zdobyć jakiegoś „alibi“, nietylko zbrodni swej nie ukrywają, ale z pewnem upodobaniem przyznają się do niej przed sądem i przysięgłymi, jakby pragnąc tem zagłuszyć swój ból i wyrzuty sumienia. Tylko wśród tej kategorji można znaleść 100% poprawionych. Do namiętności najczęściej tu występujących zaliczyć należy namiętności wybuchowe, jak: miłość, gniew, honor, częściej zatem uczucia szlachetne, aniżeli poziome lub egoistyczne. Przyczyna stoi tu często w prostym stosunku do zbrodni, a ostatnia następuje wprędce po pierwszej. Zbrodniarz nie dokonywa swego czynu pokryjomu ani w zasadzce, posługuje się narzędziem bylejakiem, często źle wybranem, a sposób działania bywa niekiedy nawet bezmyślnym i wymaga wysiłku fizycznego, o który niktby przestępcy nie podejrzywał.

Prawie wszystkie zbrodnie z namiętności skierowywane bywają przeciw osobom, jakoto: zadawanie ran, zabójstwa; rzadziej spotyka się gwałty, a nader rzadko przestępstwa przeciw własności.

Gwałtowny, wybuchowy charakter, zarówno jak i popędliwość tych zbrodniarzy zbliża ich do epileptyków.

Lombroso utożsamia ze zdrodnią z namiętności samobójstwo pasjonatów i nerwowo rozstrojonych, zaliczając w końcu do tej kategorji i politycznych przestępców z namiętności.

Jednakże „nie brak im newrozy i zboczeń psychicznych tak samo, jak i genjuszom“.

„U niektórych wszakże gwałtowność uczucia nietylko nie wyłącza mocy genjuszu, ale przeciwnie, jeszcze ją potęguje“.

*) Z niezmiernie ciekawej książki J. Dallemagna „Zbrodnia w świetle teoryj współczesnych“ podajemy czytelnikom jeden z ciekawych rozdziałów p. t. „Zbrodniarz przypadkowy i zbrodniarz z namiętności“.

CO CZYTAĆ?

„W tysiąc lat“ powieść na tle stosunków słowacko-węgierskich napisał Artur Gruszecki. Nakład Gebethnera i Wolffa.

„Książką na czasie“ można nazwać powieść p. Artura Gruszeckiego. Jesteśmy w politycznej fazie słowianofilskiej, która zwłaszcza wśród mniejszych narodów słowiańskich: Słowaków, Słoweńców, Chorwatów, przybiera formy narodowego punktu orjentacyjnego. Na tle rozbudzonego poczucia rasowego budzi się i poczucie niezależności — stąd protest przeciw wrogim narodom.

Przeciw Niemcom w Czechach, przeciw Madziarom w Chorwacji i na słowacczyźnie. Pan Artur Gruszecki daje w powieści swej żywych kilkanaście scen, obrazów tego, po tysiącu lat niewoli budzącego się poczucia narodowego wśród biednego ludu słowackiego. Poczucie własnej naszej niewoli pozwoliło pisarzowi głębiej i szczerzej odczuć niedolę pobratymców podkarpackich, serdeczniej współczuć krwawy los, jaki znosić muszą w dławiącej opiece madziarskiej.

Jako rodzaj, powieść Gruszeckiego należy do tendecyjnych utworów, t. j. do tych, które powstają pod wpływem potrzeby, czy to społecznej czy politycznej i stąd każdy roździał jest barwnym artykułem, wykazującym wrogi ucisk w rozmaitych wypadkach i oświetleniach. Należy na tem miejscu zaświadczyć, że utwór Gruszeckiego nie nosi żadnych cech płaczliwego melodramatu. Ani Madjarzy nie są tam wystawieni w postaci czarnych charakterów, ani anielskich skrzydeł Słowacy nie noszą — jedni i drudzy są ludźmi, przechodzi przez nich gniew, wrzenie, namiętność, — żyją. Jeżeli mimo to Madjarzy niezbyt chwalebnie się na kartach zapisali to już wina nie autora i nie Słowaków.

Stosunki wewnętrzne wśród samych Słowaków odmalował autor nazbyt na modłę lepiej mu znaną, polską. Taki np. pan Gabryel Andreanszki, bogaty szlachcic, politykoman ministerjalny, legitymista peszteński a mimo to szczery Słowak, jest więcej figurą naszą: czy to typem ugodowca warszawskiego, czy filarem Koła Polskiego w Wiedniu, aniżeli przedstawicielem jakiejkolwiek partji wśród Słowaków.

Szlachty słowackiej w ścisłem tego słowa znaczeniu niema. Przez tysiąc lat niewoli nie ostała się; część jej wyginęła, część zmadjaryzowała się, taksamo, jak zniemczała arystokracja czeska, jak się spolonizowali panowie ruscy.

Nie porusza również autor bardzo rozegranej nuty w społecznem życiu Słowaków: Nadziei w pomoc Rosji, która u nich przechodzi w jakąś chorobliwą tęsknotę. Cała słowiańszczyzna po za Polakami jest rosjofilska, ale niema nad Słowaków większych czcicieli Petersburga. Wypływa to naturalnym prądem z ich dziejowej niewoli i ze strasznego madjarskiego ucisku. — Knut Mikołajów jeszcze im nieznany, a takie krwawe sceny, jakie podaje Gruszecki w rozdziale ostatnim powieści, który czytelnikom naszym powyżej podajem — sceny te i bezprawia zanadto im znane; zanadto dużo po nich w niebo popłynęło błagalnych próśb do Boga.

Zżydziałe Węgry wytężają bowiem wszystkie siły, by mały ród słowiański zgnieść, zniweczyć, by raz już przecie nie usłyszeć nienawistnego na nutę „Jeszcze Polska nie zginęła“.

„Hej, Slováci! eszte nasza slovenská rzecz žije!“ *aut.*

J. Dallemagne, „Zbrodnia w świetle teorji współczesnych“, przełożył Zygmunt Poznański.

W ciągu ostatnich lat dwudziestu nauka prawa, mianowicie ta jej część, która zajmuje się przestępstwami kryminalnemi, czyli tak zwana kryminalistyka, uległa gruntownej zmianie. Badania antropologiczne nasunęły uczonym pytanie: w jakim stopniu zbrodniarza można uważać za istotę chorą, spełniającą czyn karygodny pod wpływem pewnego przymusu. Rozwiązanie tej kwestji było ważne, ile, że od niej zależała reforma prawodawstwa karnego — i uczeni wszystkich krajów z zapałem wzięli się do rzeczy. Wkrótce dzięki pracom kilku jednostek, zwłaszcza włochów, stworzono nową gałęź nauki t. z. antropologję kryminalną.

Nauka ta jest jeszcze w zawiązku, dużo w niej teoryj jednostronnych, dużo fałszywych, ale praca nie ustaje, rok każdy rzuca nowy snop światła na tajemniczą i zawiłą kwestję, i należy mieć nadzieję, że badania te podjęte w imię miłości bliźniego i humanitarnej sprawiedliwości, będą z czasem uwieńczone pomyślnym rezultatem.

Z wielu uczonych, których zajmowała dotychczas sprawa odpowiedzialności zbrodniarza za czyny przestępne, najgłośniej zasłynęło imię profesora włoskiego Lombrosa. On właściwie podłożył podwaliny nowej nauce w dziele swem, zatytułowanem „Człowiek-Zbrodniarz“, gdzie stara się przeprowadzić myśl, że każdy przestępca jest odrębnym typem antropologicznym, od urodzenia skazanym już na to, aby popełnił zbrodnie, a którego wyodrębnia od normalnych ludzi cały szereg zmian fizjologicznych i anatomicznych. Teorja Lombrosa krańcowa i jednostronna, nie wytrzymała krytyki naukowej, ale dała pochop uczonym całego świata do zajęcia się tą sprawą. To jest właśnie może największą zasługą jej jaskrawości.

Na polu tem pracowało następnie i pracuje wielu uczonych. Najsłynniejsi z nich to: Garofalo, Ferri, Tarde, Lacassagne, Coutagne, Raux, Guillot, Orszanskij, Manouvrier i t. d. W książce p. Dallemagne'a znajdujemy streszczenie wszystkich tych teoryj i rezultaty, do jakich doszła nauka w swem dążeniu do wyświetlenia prawdy. Dziełko francuskiego autora jest bardzo dobrym podręcznikiem informacyjnym, i śmiało możemy je polecić wszystkim, których zajmuje to tak ważne społeczno-etyczne zagadnienie.

W numerze dzisiejszym podajemy czytelnikowi jeden z celniejszych rozdziałów książki p. t.: „Zbrodniarz przypadkowy i zbrodniarz z namiętności. *Kali.*

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.